Z PIEŚNI LUDOWYCH

Księżyc pojął Słońce
Za żonę pierwszej wiosny.
Słońce wstało rano,
Księżyc się oddalił.

Księżyc chodził samotny,
Zakochał się w rannej gwieździe,
Wtedy Perkun w srogim gniewie
Mieczem go rozrąbał.

Czemużeś Słońce opuścił,
Pocoś się w gwieździe zakochał,
Samotny chodził po nocy?
— Serce jest pełne smutku.

Księżyc liczy wszystkie gwiazdy
Złote na całem niebie;
Wszystkie wystąpiły jasno,
Braknie jeno gwiazdy rannej.

Gwiazda ranna pojechała
Na słoneczną drogę,
Stara się o córkę Słońca,
Perkun zaś prowadzi pochód.

Poprzed bramą jabłoń - drzewo
Tnie on w szybkim biegu,
I trzy lata płacze Słońce,
Gałązki zbierając złote!

Cwałem pędzę ciebie, gniady,
Tam wzdłuż boru, brzegiem jego,
By dziś ujrzeć mą bogdankę
I ją zastać, zanim zaśnie.

Pędź, rumaku, pędź co siły
Do karczemki białej w borze!
Ciebie czeka owsa żłobek,
Mnie zaś młoda luba czeka!

Ciemna groźna noc w podróży,
Ale dbałem o nią mało,
Gdyż pokrycie mego konia
Z gwiazd utkane przyświecało.

O kamienie bystronogi,
Dotykając ledwie ziemi,
Krzesał ogień pośród drogi
Podkowami stalowemi.

Dopierom w drodze żal srogi uczuła,
Żem matce czulej rąk nie uścisnęła!
Niegdyś, gdym jeszcze leżała w kolebce,
Do niej to jednej wyciągałam ręce.

Rzucam mój pierścień w gąszcz płaczącej łozy,
Wianek na trzcinie zielonej zawieszam,
A sama, nurząc się w głębiach jeziora,
Przyłączyć się pragnę do dzikich kacząt.

Stokroć mi lepiej być dziką
Kaczką, niżli lubą brata.

Tłum. Gustaw Manteuffel.

W poranne mgły otulony
Róg Słupi[1] jęczy żałośnie,
Słonko wyjrzy z niebios łona,
A Słup odżyje radośnie.

Róg, zdobny w koronki, słyszy,
Jak mówią o nim książęta:
«Prządka tam przędzie w tej ciszy
Jedwab na chusty od święta».

Powiedz, dziewczę, skąd tak cienkie
Są koronki te skaliste?
— Słupi Róg prządł jedwab miękki,
Skręcał nici zdrój przejrzysty! —

Mateczka Rogu Słupiego
Tęczowe nici zwijała,
Nićmi jedwabiu lśniącego
Chustkę sobie haftowała.

Daj mi jedwabną chusteczkę,
Mateczko Rogu Słupiego,
Dałaś nadobną córeczkę,
Daj pokrycie łoża mego.

Słupi Rogu, o czem dumasz,
Zdobiąc czoło w mgły zawoje?
Wyjdź na słońce, spójrz dokoła,
Co robią oracze twoi.

Słupi Rogu, chcę chusteczki,
Do ciebie prośbę zanoszę,
Tkaczka zwinie wnet niteczki,
Daj chusteczkę, daj mi, proszę!

Twe pola, Rogu ze skały,
Oracz wyrobić pośpiesza,
Kosz do siejby złoty cały
Na srebrnem kółku zawiesza.

Rogu, twoją ziemię czarną
Włościanie już uprawili,
Rzucili w nią srebrne ziarno
I pańszczyznę odrobili.

Matko! oddasz mię mężowi,
Oddaj, komu twoja wola,
Byle nie Rogu synowi,
Bo nad nim ciąży zła dola.

Czemuż wy, dziewczęta skały,
Jasnych barw nie macie w stroju?
— Nasze stroje mgły utkały,
A opięły wody zdroju. —

Latem było żyto, dzisiaj jęczmień wszędzie,
Na rok przyszły ugór świecić się tu będzie.
Latem była dziewą, dziś jest w niewiast rzędzie,
Na rok przyszły pewnie matulą już będzie.

Tłum. Emma Benisławska.

ANDREJS PUMPURS
(1841—1902)

GŁOWA NA TRZECH MIECZACH

Pod Kekawą, wzdłuż polany
Wzgórza, sosny w ciżbie mrocznej;
Wśród nich wznoszą się kurhany:
Miejsce bitwy to wyrocznej.

Na kurhanie tam ukryta
Na trzech mieczach była głowa,
Nad nią głosił dziad-wróżbita
Swych posępnych zaklęć słowa:

«Ty ostatnia z nas, coś wroga
Biła w ogniu walk orężnych!
Serce moje dręczy trwoga,
Że dziś wodza brak wśród mężnych.

«Pozbawieni przewodnika,
Błądzą mego ludu syny,
I twa sława już zanika
Nad ojczystej brzegiem Dźwiny.

«Śpij, mój druhu, w tym kurhanie
Na trzech mieczach czas tak długi,
Póki lud twój nie powstanie,
By na oręż przekuć pługi!

«Przyjdzie z Rygi łódź, w niej woje
Dzielnej Łotwy: tu na krwawych
Polach białe prochy twoje
Znajdą na trzech mieczach rdzawych.

[1] Słynna skała naddźwińska — «Stabbu Rags».

«Wspomną owej bitwy lata,
Sławę przodków i dni chwały,
Wtedy w nowe miecze świata
Naród się uzbroi cały!»

Tłum. Tadeusz Radoński.

IMANTA

Imanta nie zmarł — żyje
Pod Siną górą, hen!
Spoczął po bojów pracy,
Zaklęty w cichy sen...

Choć śpi pod złotem sklepień
W podziemnym zamku, lecz
W swych mocnych dłoniach dzierży
Nierdzawy, ostry miecz.

Raz jeden na wiek cały
Wychodzi z ziemi gnom,
By spojrzeć, czy na szczycie
Jeszcze nie koniec mgłom.

A gdy posłaniec ujrzy,
Że mgły się kłębią wciąż —
Powraca do rycerza,
I znów lat sto śpi mąż.

Lecz przyjdzie dzień... Pioruny
Uderzą z hukiem w szczyt —
Złośliwe czary prysną,
Zalśni nad górą świt.

Słońca boginek tłumy
Rozpędzą chmury mgieł,
Potężny głos obudzi
Wodza do nowych dzieł.

Tłum. Brunon Nowicki.

AUSEKLIS (MIKUS KROGZEMS)
(1850—1879)

TRIMPULA [1]

Łzy Stabbu Rags sączy, grzmi Dźwina we wtór
i wicher w wąwozie się zmaga.
Jak jęczą w krąg dęby! Nie przodków li chór
tak brzmi, nie pogrobna ich saga?

Czyż nato, Perkunie, tyś Dźwinę nam dał,
by witeź, za swoją odwagę
lub bogom wojennym w ofierze, z niej miał
płyn trzeźwy nabierać w bakłagę?

Umieli przodkowie swym bogom nieść dar —
warzyli im piwo i brahę!
Gdy dnia świątecznego na Łotwę padł czar,
któż widział niepjaną watahę?

Korowód dziewczęcy z wiankami na brzeg
pośpiesza; na brzegu — wesele:
podczaszych z czarami tłum liczny się zbiegł,
a barwne proporce na czele!

Niech Dźwina w łożysku wysycha do dna,
i w morzu niech wody nie mamy —
gdy czasza chmiel toczy, gdy Trimpus nas zna,
gdy jemu przysięgę składamy!

---

[1] Trimpus — łotewski Bachus; Trimpula — oda do Trimpusa; Stabbu Rags — malownicza skała stalaktytowa na lewym brzegu Dźwiny; Perkun — łotewski (i litewski) Zeus.

Pląsajcież, śpiewajcie z bogami, jak wprzód,
ku czci Trimpusowej, ku chwale!
Praszczury pić z wami u Dźwiny chcą wód,
na sławnej zebrawszy się skale.

Niech zmarłych obyczaj synowski czci chór
ucztami, cnotami lub bojem! —
Praszczury u Dźwiny podadzą wam wtór
Trimpusa wsławionym napojem.

Tłum. Antoni Bogusławski.

RUDOLFS BLAUMANIS
(1861—1903)

W CIENIU ŚMIERCI
(Wyjątki)

(Wicher oderwał od brzegu ogromną płytę lodu wraz ze znajdującymi się na niej czternastoma rybakami, którzy, zajęci połowem, za późno dostrzegli niebezpieczeństwo. Kra niosła nieszczęśliwych na pełne morze, grożąc im w każdej chwili śmiercią. Rybacy utworzyli kilka grupek, skupiających się dokoła wozu z rybami. Nagle kra pękła, i czterech rybaków: Sturis, Skapan i dwaj Cubukowie, oddalając się na kawałku lodu, zniknęli z oczu towarzyszom. Pozostali rybacy pod wieczór rozpalili ogień, aby przyrządzić posiłek, i usiłowali jeść ryby w stanie nawpół surowym, gdyż należało oszczędzać drew.)

Z nadejściem zmroku Grintal kazał odwrócić puste sanie tak, aby wiatr wiał na nie zboku. Wtedy wszyscy rybacy usiedli pod saniami, opierając się plecami o siebie, i w ten sposób postanowili spędzić noc.

Ściemniło się. Na niebie nie było widać ani jednej gwiazdy. Wiał ostry wiatr; dokoła szumiało morze. Nikt nie zmrużył oczu. Wszyscy wpatrywali się w gęsty mrok, który, niby ołów, przygniatał głowy i ramiona.

— Ach, jak mi się chce jeść! — szeptał Karolek do Birkenbauma. A ryba taka wstrętna!

— Cóż robić? — odrzekł robotnik.

Po długiem milczeniu znowu usłyszał westchnienie chłopca.

— Co ci jest? — zapytał obojętnie.

— Jeść mi się chce — szeptem odpowiedział chłopiec.

Birkenbaum posiedział chwilę, potem, uderzywszy się niecierpliwie ręką w kolano, wstał, odprowadził chłopca na dwa kroki od sań, wyciągnął coś z za pazuchy i to mu wręczył.

— Pij! — rozkazał.

Chłopiec odkorkował butelkę i wypił.

— Tylko nikomu nie mów! — ostrzegł go Birkenbaum, odbierając butelkę. — A teraz spróbuj zagryźć!

Powróciwszy do sań, Karolek zjadł nie bez wstrętu swoją rybę.

Potem znowu dosyć długo nikt się nie poruszał. Noc stawała się coraz głębsza, morze szumiało, lód trzeszczał, a wiatr niósł na kry słony zapach morskiej wody.

— Birkenbaum, śpisz?

— Nie.

— Położę się trochę na twych kolanach.

— Kładź się.

Karolek położył ręce na kolanach Birkenbauma i spoczął na nich. Robotnik poczuł, jak bardzo zimne były ręce chłopca. Zdjął rękawiczki i począł ogrzewać w swoich ciepłych dłoniach zdrętwiałe, chude palce. Ogrzał je, i wtedy ciepło od palców chłopca zkolei zaczęło udzielać się robotnikowi.

Karolek zasnął. Jego spokojny, równy oddech, uwidoczniony jedynie przez równomierne ruchy piersi i ciepło rąk, przypominał Birkenbaumowi inne noce, chociaż nie miały one napozór nic wspólnego z tym snem chłopca.

. . . . . .

Na trzeci dzień rano zabrakło drew. Nikt zresztą nawet nie myślał o gotowaniu ryby. Wszyscy łokomie śledzili podział, bacząc, czy kto nie dostaje więcej...

— Czyż w twej butelce nic już niema? — zapytał Karolek, odwołując Birkenbauma nabok.

— Nic!

— A przecież było tak wiele!

— Wczoraj wieczór wypiłem.

— A mnie nie dałeś?

— Czy to mój obowiązek? Obiecałem ci albo co?

— Nie obiecałeś, ale przecież widzisz, że mnie trudniej, niż tobie!...

— Ale przecie butelka była moja! I mnie też niełatwo. Podziękuj i za to, że wogóle dostałeś. Inny na mojem miejscu...

— Ach, toś ty taki!

— Jaki?

— Idź... było tak dużo, dosyć dla nas obu na jutro i pojutrze! — z niezadowoleniem zauważył chłopiec. — A teraz tyś sam wszystko połknął!

— Patrzcie go! — gniewnie burknął na niego Birkenbaum. — Będzie mi tu jeszcze wymówki robił! Smarkacz! Dostaniesz po pysku!

— Ty sam dostaniesz! — zawołał chłopiec, ledwie powstrzymując łzy i z gniewem poglądając na Birkenbauma. — Pijak!

Birkenbaum, podszedłszy do chłopca, ostro spojrzał na niego i mocno uderzył go w twarz, mówiąc:

— Teraz zamilkniesz!

Twarz chłopca wykrzywiła się ze złości. Schwycił robotnika za rękę, usiłując go ugryźć, ale Birkenbaum wyrwał ją i zkolei, jakby żelaznemi kleszczami, ścisnął ręce chłopca powyżej dłoni... Nagle spostrzegł, że chłopiec słabnie... Przez chwilę jego głowa, jak martwa, leżała na piersiach Birkenbauma.

— Karolku, Karolku, co ci jest? — budził go robotnik.

— Pić — szeptał chłopiec — dajcie pić!

Birkenbaum odprowadził go do sań, a następnie, podszedłszy do Grintala, zapytał:

— Czy nie czas puścić krew jednemu z koni, gdyż chłopiec zupełnie osłabł?

— Nad tem należy naradzić się ze wszystkimi pozostałymi. Dla napojenia jednego nie można zabijać konia.

Zwołał rybaków i postanowiono jeszcze czekać.

. . . . . .

Birkenbaum obszedł niemal całą krę dokoła i wrócił znowu do sań. Chłopiec wciąż jeszcze leżał na tem samem miejscu. Wargi mu zsiniały, z pod czapki, zsuniętej na tył głowy, błyszczało blado-żółte czoło.

Birkenbaum znowu przysiadł się do niego.

— Karolku!

Chłopiec jakby go nie słyszał.

— Niema nic do picia — mówił dalej robotnik. — Jest tylko lód. Jeśli chcesz, rozpuszczę kawałek w ręku i naleję ci wody w usta. Ale jeżeli nie możesz wytrzymać... słuchaj... jeżeli nie możesz wytrzymać... ja... puszczę sobie krew z ręki.

Karolek drgnął, ocknął się i rzucił łakome spojrzenie na ręce Birkenbauma.

W chwilę potem robotnik przystawił swą lewą rękę do warg chłopca.

Ten, schwyciwszy podsuniętą dłoń, zrazu chciał ją odepchnąć, ale uspokoił się i zaczął ssać...

. . . . . .

Wieczorem (czwartego dnia) wszyscy usiedli na saniach, milczący i osłabli, z zapadniętemi policzkami i oczami. Fale szumiały coraz bliżej, i kołysanie się kry było coraz wyraźniejsze.

Karolek przycisnął się do Birkenbauma.

— Teraz wszystko przepadło, nieprawdaż?

— Pewnie — odpowiedział robotnik.

— Ty wytrzymasz dłużej, niż ja.

— Pewnie.

— Ach, gdybyż to wszystko nie wlokło się tak długo... Tych, co umrą, pewnie wrzucą do wody?

— Pewnie.

— Mnie wrzuć ty, Birkenbaum... Ach, żeby już jak najprędzej!

Chłopiec objął łokieć robotnika i, przycisnąwszy głowę do jego ramienia, szlochał. Birkenbaum milczał.

Piątego dnia rankiem Grintal zauważył daleko na północy dym. Wszyscy patrzyli w tamtą stronę z największą uwagą. Pasmo dymu wydłużało się, i wkrótce już nie wątpiono o tem, że ono ciągnie się od przechodzącego obok okrętu.

— Podnieście wyżej flagę, wymachujcie nią! — krzyczeli wszyscy, tłocząc się obok tyki.

Chmurka dymu rosła, a blade oblicza rybaków ożywiły się i oczy poczęły błyszczeć. Nawet Gurlum z radości przemówił. Stary Dalda, odszedłszy nabok, płakał i modlił się...

Ale potem spojrzenia ich stawały się coraz bardziej nieruchome, coraz straszniejsze. Chmurka dymu malała! Okręt nie przybliżał się — nie widział ich albo nie chciał widzieć.

Twarze wszystkich ludzi powlekła noc. Flaga upadła. Zalga deptał czerwoną koszulę i gryzł swój kożuszek. Biedny Skrastin, padłszy na sanie, wykrzykiwał niezrozumiałe słowa i chichotał. Karolek mocno objął Birkenbauma, a Grintal stał i wciąż jeszcze patrzył w tę stronę, gdzie zniknął dym.

Nagle Jan zawołał:

— Łódka! Łódka!

Wszyscy obrócili się ku Janowi, który wskazywał ręką na południe. Tam płynęła niewielka łódka, i to tak blisko, że można było policzyć siedzących w niej ludzi. Dwóch wiosłowało, jeden był u steru, a czterech siedziało bezczynnie.

Stary Dalda złożył ręce i podniósł je ku niebu.

— Birkenbaum! Birkenbaum! — szlochał chłopiec.

Kiedy łódka zbliżyła się o tyle, że można było rozróżnić twarze, rybacy dostrzegli w niej, prócz obcych, jeszcze swoich: Sturisa, Skapana i obydwu Cubuków, bardziej podobnych do trupów, niż do żywych ludzi.

Rybacy pośpieszyli naprzeciwko łódki. Po pewnych wysiłkach jeden z wioślarzy wstąpił na krę.

Zaczął coś mówić, czego nikt nie zrozumiał, bo przemawiał nie po łotewsku. Nareszcie Grintal zapomocą znaków wyjaśnił, że łódka może jeszcze przyjąć siedmiu ludzi.

Tylko siedmiu! A ich było dziesięciu! Któż się wyratuje? Kto pozostanie? Długą chwilę stali w osłupieniu. Pierwszy Zalga ruszył w stronę łódki.

— Trzeba wsiadać. Kto zostanie, ten zostanie!

Ale Grintal schwycił go za rękę i odciągnął zpowrotem.

— Stój! Niech decyduje los. Zgadzacie się wszyscy?

— Spróbujmy wsiąść razem — powiedział Skrastin. — Gdy zobaczymy, że wszyscy nie zmieszczą się, wtedy niech rozstrzyga los.

Ale obcy człowiek nie zgodził się na to. Objaśnił zapomocą znaków, że w ten sposób mogłaby wyniknąć bójka, i łódkaby się przewróciła.

— No, to niech decyduje los! — powiedział Grintal. — Ustawcie się według lat, według starszeństwa...

Następnie wyrwał dwie kartki z notesu, podarł je na równe kawałki i trzy z nich oznaczył krzyżykami.

— Kto je wyciągnie, ten się zostanie! — Zwinął karteczki, włożył w czapkę i podszedł ku Daldzie. Starzec rozwinął kartkę. Była biała. Drżącą ręką schwycił Zalga swój los. Wziął jeden, drugi, nareszcie otworzył trzeci. Czysty! Gurlum miał takież szczęście. Skrastin przeżegnał się uroczyście i wyciągnął los. Pusty! Grintal podszedł do Sylisa. Teraz przecież powinien być krzyż! Ręce Sylisa drżały tak silnie, że ledwie mógł rozwinąć papierek. Ocalony! Śmiałą ręką wziął Jan papierek i wyjął pierwszy

krzyżyk. W czapce pozostały dwa krzyżyki i jedna biała kartka. Zacisnąwszy wargi, Grintal podsunął czapkę Birkenbaumowi. Ten z powstrzymanym tchem popatrzył na kartki i, schwyciwszy jedną, szybko ją rozwinął. Okazało się że wyciągnął ostatni pusty bilet.

Grintal odwrócił czapkę i wysypał dwa ostatnie bilety na lód.

— My, Karolku, nie mamy poco ciągnąć! — powiedział. — Idźcie!

Zalga i Gurlum szybko wsiedli do łódki. Po nich uczynili to samo Gulbis i Sylis. Skrastin podszedł do Grintala i uścisnął mu rękę.

— Zawieź pozdrowienie mojej żonie — rzekł Grintal.

Następnie pożegnał się z nim oraz z Birkenbaumem i zwrócił się w stronę Karolka. Ten stał bez ruchu i patrzył na łódkę.

Twarz Birkenbauma boleśnie się skurczyła. Schwycił rękę chłopca i uścisnął jego chude i zimne palce. Ale ten nie odpowiedział na uścisk, i kiedy robotnik puścił jego rękę, ta opadła na bok Karolka, jak martwa. Birkenbaum, odszedłszy dwa kroki, odwrócił się jeszcze raz, popatrzył na chłopca dziwnym wzrokiem i powoli, jakby wbrew chęci, i walcząc z samym sobą, wszedł wreszcie do łódki.

Dalda z Janem odeszli nabok; starzec widocznie nie mógł rozstać się z synem.

— Już czas! — przynaglał Grintal.

— Ja zostanę! — powiedział Dalda.

— Ja nie pójdę! Za nic w świecie! — rzekł Jan.

— Pójdziesz! Idź! Ty prędzej przyjedziesz po mnie, niż ja po ciebie. Będę cię oczekiwał. Idź!

— Ojcze!

— Idź, idź! Pokłoń się matce od starego. I przyjeżdżaj po mnie! Idź, siadaj do łódki.

— Za nic w świecie! Ja nie mogę! Nie pójdę!

Ale stary Dalda nie przestawał popychać Jana w stronę łódki, dopóki ten nie wszedł do niej.

— Żegnaj, synu! Żegnaj, synu! — wołał za nim starzec i, kiedy łódka oddaliła się, powtórzył jeszcze kilka razy: — Żegnaj, mój synu! Żegnaj, mój synu!

Grintal na pożegnanie machnął trzy razy czapką, położył rękę na ramieniu Karolka i tak pozostał.

Podobnie nieruchomo, pochylony naprzód, stał Dalda.

W ten sposób byli oni przez długi jeszcze czas widoczni dla Jana i Birkenbauma, którzy nie spuszczali z nich wzroku. Potem ich sylwetki stały się niewyraźne, zlały się — i wreszcie cała kra widniała na horyzoncie zaledwie w postaci małej szarawej kropki. Wreszcie i ona znikła.

Tłum. Tadeusz Radoński.

EDUARDS VEIDENBAUMS.

(1867—1892)

Z PÓL NADPŁYNĄŁ POWIEW WIOSNY...

Z pól nadpłynął powiew wiosny,
Dość kłopotów — zmartwień — łez!
Ciesz się — znowu bądź radosny,
Nim nadejdzie życia kres!

Świat się w barwne stroi kwiecie,
Upił go miłości żar.
Ciesz się — znowu bądź jak dziecię,
Niech cię zbudzi wiosny czar!

Nie patrz w przyszłość — w tem się kryje
Jeno ciągłych zgryzot cios.
Ten, kto kocha — wesół żyje,
Nigdy go nie zwiedzie los.

DESZCZ NA ULICACH...

Deszcz na ulicach, błoto; nie milkną wiatrów wycia.
W pokoju zimno, ciemno i stół mój bez nakrycia...

W zadumie, w samotności wspominam dawne chwile,
Wokół mnie krążą mary tych, co już są w mogile.

Daleki kraj rodzinny z przeszłości wstaje cienia...
Lecz tylko gorycz budzą czarowne te widzenia.

Przeminął bezpowrotnie czas szczęścia i radości —
I śnieg wypełnił serce, i zimy chłód w niem gości.

Tłum. Tadeusz Radoński.

ZE ŚWIATA, NIBY SEN, ZNIKAJĄ POKOLENIA...

Ze świata, niby sen, znikają pokolenia,
I błednie krasa lic w oddechu dni i lat,
Umarłych ciała tlą się w chłodzie zapomnienia —
A u wieczności bram niezgłębny milczy świat.

Tu wiosna ciepłem tchnie lub wiatr północny wionie,
Kolący objął cierń łodyżki wątłych róż!
Po stokroć lepiej lec w zacisznem ziemi łonie,
Kędy umarli są bez pragnień — wolni już.

Mknie życie lotem strzał — zaprawdę, niema celu
Tropić radości tu, do szczęścia szukać dróg!
Jedynie tam, gdzie mir znalazło zmarłych wielu,
Niech spokój — módl się, proś! — i tobie ześle Bóg!

Tłum. Alfred Tom.

JANIS RAINIS (PLIEKSZANS)
(1869—1920)

ZŁAMANE SOSNY

Sosny wysokie, co stały na górze,
Złamały kiedyś gwałtowne burze.
Nad brzegiem stały wdal zapatrzone —
Kryć się nie chciały ni ugiąć korony.

«Chociaż nas łamiesz, złośliwa wichuro,
Lecz nie zwycięży twa siła ponura —
Jeszcze w tęsknocie wznosimy ramiona,
Każda się gałąź sprzeciwia, choć kona!»

I sosny wielkie te, przez burzę ścięte,
Na wody wyszły jako okręty —
Pierś swoją dumnie na szał wichrów dały,
Od nowa pieśnią wojenną rozbrzmiały:

«Pień się i wyj, o złośliwa wichuro,
W tej nowej walce będziemy górą
I dopłyniemy do tych szczęścia dali,
Kędy purpurą wschód słońca się pali!»

HEJ, NAPRZÓD!

Zniszczyłeś poza sobą przęsła mostu,
Przez który mógłbyś jeszcze wrócić do swych stron,
Gdzie znalazłbyś pociechę w chatach ludzi prostych
I zebrał serdeczności bratniej piękny plon.

Złamany most. W odmętach giną łodzie,
Na drodze twojej burze tworzą zwał.
Dokoła nagi brzeg i mewy krzyk przy wodzie.

Dłonie pocięte, pod nogą ostrza skał...
Hej, naprzód! Wdali jasny świt już wstał!

Tłum. Brunon Nowicki.

PYTANIE

Nad ludzi kochałem ludzkość,
Ludzkość całego wszechświata...
Myślałem zawsze — to ona
Najwyższą wagę posiada!...

Ludzie mi wzajem płacili:
Przejdą, nie bacząc, i miną...
Zwąc moje dzieła — owocem,
Mnie zaś — odpadłą łupiną...

Zaliż nie byliśmy w błędzie?...
(Zwątpienie w sercu się budzi.)
— Wszak człowiek tworzy i dźwiga,
A ludzkość składa się z ludzi!...

W KRAINĘ SNÓW

W powietrzu parnem jaskółki się gonią...
Dzieci na polu... Słońce wdal zachodzi...
Oczy wieczora kojące łzy ronią
Na kwiaty, zmięte od pieszczot powodzi...

Leżę na sianie i w niebo ślę oczy:
Ziemia przygasa, a słońce cień wodzi...
Czekam, aż gwiezdny rydwan się wytoczy
W niebo... O, gwiazdy! Na skargę błagalnych mych słów —
Porwijcie mą duszę w gwiezdną krainę snów!...

Tłum. J. W.

PYTANIA DZIEWCZĘCIA

O, przyjacielu mój,
Powiedz, skąd wziąłeś tak tęczowe słowa?
«Patrzyłem długo w potok ludzi zmienny».

Skąd wynalazłeś tak ogniste słowa?
«Patrzyłem długo w blask słońca promienny».

Skąd wynalazłeś tak ogromne słowa?
«Patrzyłem długo w dal bezbrzeżną morza».

O, przyjacielu mój,
Powiedz, skąd wziąłeś tak spokojne słowa?
«Patrzyłem długo w duszy mej bezdroża».

Skąd wynalazłeś takie miłe słowa?
«Patrzyłem długo w twe oczy łagodne».

Skąd wynalazłeś tak głębokie słowa?
«Patrzyłem długo w łono śmierci chłodne».

O, przyjacielu, przyjacielu mój!

Tłum. Mieczysław Giergielewicz.

JÓZEF I JEGO BRACIA
(Wyjątek)

Józef:
Kto są ci ludzie?

Strażnik:
To pasterze, panie.

Józef:
Czy to nie zbóje z pokolenia Set?
Niech pojedyńczo przejdą tu raz jeszcze!

(Strażnik wychodzi)

Asnata:
Co ci, kochany? Drżysz tak!

Józef *(z okrzykiem)*:
Co za jedni?
Nie oni-ż to — — —

(Strażnik wraca)

Strażnik:
To są pasterze, panie.

Józef *(skinieniem odsyła strażnika)*:
Więc oni? Oto: lew — czy kat? — A tamci

(Bracia przechodzą pojedyńczo, najpierw Juda)

Czają się, niby szakale?

Asnata *(chce odejść od okna)*:
Och, wstrętni!

Józef *(zatrzymuje ją)*:
Spójrz — oto sędzia, nie znający łaski!

Asnata:
Strach mnie przechodzi!

Józef:
Widzisz — to zawistnik!
A ów uciekał, gdy trzeba ratować!
Tam — pełen złości szpieg, co nie przebacza!
Och!...

Asnata:
Co to?

Józef:
Oczy! To ostre spojrzenie!

Asnata:
To nie wzrok ludzki! — I mnie też mróz chwyta!

Józef:
Oni! — Świat tylko ma jeden wzrok taki,
— A wzrok ten właśnie mnie przekłuł swem ostrzem.

Asnata:
Ach, kto ci ludzie, powiedz!

Józef *(z okrzykiem)*:
Ha! To oni!
Ożyły-ż cienie? Więc mścić się wypadnie?
Dosyta napić się, tak — o, rozkoszy!

Asnata:
Co? Co?

Józef:
Mordercy!

Asnata:
Kto?

Józef:
Tam — moi bracia!

Asnata:
Co mówisz? Czy sny ci się roją?

Józef *(patrzy za oddalającymi się braćmi, a widząc ich ubogą odzież i całą nędzę, wpada w rozpacz)*:
Biada!
Gdzie krok ten dumny? Miecz, budzący grozę?
W łachmanach, nadół pochyleni! — Biada!
Niebo, przeklinam cię, czemu mnie łudzisz!
Na tych się zemścić? Napić się z kałuży? —

Asnata:
Co? — Bracia? Nigdy nie mówiłeś o tem!

Józef:
O, hańbo!

Asnata:
Twoi to mają być bracia?
Niepodobieństwo! Kto tak zły być może?

Józef:
Ha! Tak zły! Ha! ha! — Dobrze powiedziałaś:
Więc przecie zemścić się trzeba! — Kto tak zły jest?
Ha! — moi bracia — ha! Czy kto uwierzy?
Ja sam uwierzyć nie mogę, chcę widzieć,
Niech o swym czynie sromotnym powiedzą
Tutaj przed nami.

(Klasnął w dłonie, wchodzi strażnik)

Wprowadzić pasterzy!
Muszę wybadać, kto są owi ludzie.

Tłum. Alfred Tom.

ASPAZJA (ELZA PLIEKSZANS)
(ur. 1868)

GDZIE?

Nie życzę sobie środka —
Lecz pełni życia chcę!
Nie znoszę zła czy dobra,
Gdy szranki wchodzą w grę!

Lecz do rozkoszy czary
Nie przylgnę ja śród róż:
Wyciągnę tylko rękę
I wstrętu pełnam już.

A na wyżyny życia
Gdy śmiałam wspiąć się raz —
Tam w szatach białośnieżnych
Jak drętwy stoję głaz.

Gdzie znajdę schron dla duszy?
Jak kiełzać uczuć szał?
Falują, płoną, tają:
I zmienność — to ich dział!

Duch jutro to podepcze,
Co dzisiaj święcie czcił!
Gdzie tedy stałość ducha,
Gdzie cel duchowych sił?

Tłum. Alfred Tom.

WIOSENNE RANO

Na białym łabędziu
Wiosna
Z krainy baśni
Przybywa...
We włosach jej motyl
Złocisty,
Biel kwietna ramiona
Okrywa...
Strumieni się wietrzyk
I mdleje,
Kwiat pachnie dla kwiatów,
Fala z falami szaleje!...
A na niebieskiem wezgłowiu
Obłocznem,
W wonnej purpurze —
Słońce

Pogląda senne
Ku ziemi,
Unosząc obłoków
Robrońce..
I głaszcze dłonią
Złocistą
Warkocze brzeziny
Zielonej... —
W płaszczu pochmurnym
Deszcz schodzi
Po stopniach tęczy
Schylonej..
— Bez tchu milczenie
Chwili wysokopiennej...
— Ziemia rozkwita nadzieją
Na piersi młodej wiosennej!...

Tłum. J. W.

JANIS PORUKS
(1871—1911)

GOETHE W DRODZE DO SESENHEIMU

Do gościnnego domu on
O zmierzchu konno przed się jedzie;
Jakgdyby wiedząc o tem skądś,
Tam Fryderyka obrus kładzie.

On przyjdzie — serce mówi jej —
I szczęście tu przyniesie z sobą;
Tak, uśmiech jego ciszą tchnie,
Wysokie czoło pukle zdobią.

Przyjdzie — ten serca słyszy szept —
Majestatycznym krokiem wiersza
I duszę jej podbije wnet
Cudownie mową swą najszczerszą.

Do gościnnego domu on
O zmierzchu konno przed się jedzie;
Kiwnięciem mu zwiastuje los,
Że do zwycięstwa go powiedzie.

I srebrzy już gwiaździsty zmrok
Ochładzające się doliny;
Noc siwa w las kieruje krok,
Wąwozy kryjąc i niziny.

Radosne okien światło w mgle
Migotu pełne baśniowego;
Gdy biały koń zobaczy je,
Przyśpiesza mimowoli biegu.

W ZIMOWĄ NOC PRZY OKNIE

Brak strun w mej harfie,
Brak szczęścia w życiu,
Lecz dawna pieśń odzywa się!
Mój dom — bez lubej,
Mój krok — bez celu,
Lecz żyć, lecz żyć ja jeszcze chcę!

Na nieboskłonie,
Jak w skałach śnieżnych,
Z obłoków blady księżyc wstał.
Z nagiego gaju
Biel śnieżna płynie —
Do piersi dziwny ból się wdarł.

O, któż to dał wam
To światło wieczne —
Skry gwiazd, błękitny skłonie nieb?
Pochodnia gaśnie,
A w nocy ciemniej
Czyż serce moje znajdzie lek...

Jeziora błyszczy
Lód, mrozem skuty,
I dzwoni dal, lód kurczy się;
A przecież serce
Zastygnąć nie śmie —
I żyć, i żyć ja jeszcze chcę!

Tłum. Alfred Tom.

JESIEŃ

Białe łabędzie
Wdal odleciały;
Oczy przesmutne
W ślad ich patrzały.

Kruki żałobne
W klonów purpurze.
Gołębie białe
Na dachów górze.

Czemu nie leci
Gołąb do boru?
Czy może żal mu
Odfrunąć z dworu?

Więdnie w ogrodzie
Kwiat szczęścia drogi.
Zgina jabłonie
Wicher złowrogi.

Tłum. Mieczysław Giergielewicz.

VILIS PLUDONIS
(ur. 1874)

RÓŻE

Róże, ach, róże,
Ciemnoczerwone, namiętne!
Gdy wiosna młodem ciepłem tchnie,
O, jakże drżą
I mówić chcą
Te róże!

Róże, ach, róże,
Ciemnoczerwone, namiętne!
Czy nie wasz purpurowy kwiat —
To miłość ta
I żądzy skra,
Co płonie tak?

Róże, ach, róże,
Ciemnoczerwone, namiętne!
Kto waszą czuł upojną woń —
Już spokój nie powróci doń,
I bliski jest mu zgon.

PIOSNKA TRZCIN

Wietrzykaśmy pośpiewy,
Szepniemy — i już w śnie wy;
Niech tylko zadrży jedna z nas,
A drżeć poczniemy wszystkie wraz;
Jesteśmy — wodne dziewy.

Wietrzykaśmy pośpiewy,
Szepniemy — i już w śnie wy;
W nas gwiezdna jakaś tęskność drga,
I ziemi ból w nas zlekka łka —
Skarg cichych myśmy dziewy.

Wietrzykaśmy pośpiewy,
Szepniemy — i już w śnie wy;
A gdy się tułasz z sobą sam,
Daj z duszą twą zanucić nam, —
Śnień mglistych myśmy dziewy.

Wietrzykaśmy pośpiewy,
Szepniemy — i już w śnie wy;
Gdy myśl twą gniecie smutku głaz,
Wytchnienie znajdziesz tu śród nas, —
My czułych strapień dziewy.

W ZIMOWĄ NOC

W zimową noc otwieram okno:
Widmowo patrzy księżyc we mgle;
Z chłodem zimowym płyną do serca
Świata ochłody, przestwory, głębiny.

Gwiazdy tam błądzą wysoko, daleko.
Bez końca jest noc nad górami, dołami.
Bezdeń wieczności pochłania światy,
Wieczność ciężarem się kładzie na duszy.

Tłum. Alfred Tom.

JANIS AKURATERS
(ur. 1875)

BOSKOŚĆ

Zakrywa słońce mgła jesiennych żali,
I tylko ptasząt raduje nas droga,
Rozgrzewa usta sok chmielnego boga,
Jakbyśmy znowu kochać zaczynali.

Gdy dzień zagaśnie — księżyc jaśń rozlewa
I smętki nocne w srebrną szatę stroi;
Nie zapomina się miłości swojej —
W duszy rój złotych widziadeł połśniewa.

Gra i to życie — śród pląsów uchodzi,
Dnie przed bogami pierzchają w zaświaty;
W duszach, co stały się jak słodkie kwiaty,
Amorki krążą w żwawym korowodzie.

POD WŁADZĄ SERCA

Na dobro, jak i zło nieczuły,
Pod władzą serca żyję ja.
W godzinie każdej czary złote
Nade mną leje mara ta.

Drogami memi serce rządzi,
Na ustach wiosny płoną mi...
Jam w tłumie głazem, ale serce
Mam dziecka, co o bajkach śni.

Że mnie, wiem o tem, gdzieś kochają;
Wiem: kwitnie łąka hen — śród gór,
I życia tam śpiewają chwile,
Niby kapłanek cudnych chór.

Żem wszystkim obcy, widzę jasno,
Podległy sercu — zwiewny cień,
Jak widmo nocne, tak trwożliwy,
Milczący — jako zeschły pień.

Tłum. Alfred Tom.

KARLIS SKALBE
(ur. 1879)

Z «BAŚNI ZIMOWYCH»

Olbrzym

Olbrzym rzekł do swego młodszego brata: «Potrzymaj ty teraz górę, a ja pójdę przyjrzeć się światu». Tak się też stało. Młodszy brat wziął górę na barki, a starszy wyruszył w świat.

Przez całe swe życie leżał on na brzuchu i dźwigał górę na plecach, podobnie jak ojciec jego i dziad. Oto wreszcie był na wolności, ogromny, garbaty i niezgrabny. Z trudem stał na nogach i rozglądał się zdziwiony dokoła. Wszystko rzucało mu się w oczy i zdało się jakieś pstre i pasiaste — a przedmiot każdy był jakby spowity w tęczę. Olbrzym nasz przypominał kurczę, wykluwające się z jaja, gdy świat ze wszystkiemi swemi barwami i tonami ogarnia jego upojoną duszę. Z dłonią przed oczyma patrzał wdal: lasy, góry i obłoki... Wiatr uginał drzewa i pędził chmury przed siebie. Miał-że on, olbrzym, stać bezczynnie? Ryczał aż z radości i wędrował wciąż

dalej — wolny, szczęśliwy i bogaty. Pod pachą niósł bryłę złota — wielkości głowy ludzkiej. Dobre karły podarowały mu ją za to, że tak cierpliwie dźwigał był na sobie górę, w której mieściły się ich kuźnie i skarbnice.

Olbrzym szedł, szedł, aż napotkał górę. Wspiął się na nią, a zszedłszy znów w dolinę, ujrzał chłopca, pasącego owce. «A to przecie chrząszczyk!» — rzekł olbrzym i uśmiechnął się.

W świetle słonecznem wznosiło się wzgórze, całe pokryte białą koniczyną. Nisko, tuż nad widnokręgiem leżały białe obłoki. Ani złoto, ani srebro, kryjące się w głębi gór, nie błyszczało tak, jak to wzgórze ze swą koniczyną. Olbrzym miał ochotę położyć się tu na murawie i rozejrzeć się wokoło — tutaj zapewne był początek owego pięknego świata, o którym opowiadały mu wieszczki leśne; latały one na skrzydłach wietrznych daleko po świecie, wiodły na bezdroża pastuchów i myśliwych i miały dużo do opowiedzenia.

«Hej ty, drągalu!» — zawołał chłopiec, «nie rób mi znów dołu na mojem pastwisku. Gdzie wy, olbrzymy, się kładziecie, tam przez trzy lata trawa nie rośnie». Nie był on tchórzem i nie po raz pierwszy miał do czynienia z olbrzymami i djabłami.

«Posłuchaj, chłopcze, chciałbym coś przekąsić. Daj mi owcę!»

«Ach, ty obżartuchu! Całą owcę! Ale pobiegnijmy najpierw w zawody. Jeżeli zwyciężysz, dostaniesz owcę, jeśli nie — to bryła złota będzie moja».

Olbrzym spoglądał na chłopca, jak pies na mrówkę, chodzącą między jego łapami. «Jakiż to chrząszczyk!» — myślał zdumiony. — I nasby to chyba zdziwiło, gdybyśmy, leżąc na trawie, usłyszeli śmiało do nas przemawiającego — zielonego chrząszczyka.

«No dobrze, biegajmy o zakład», powiedział olbrzym.

«Ale gdzieżtam! Czy to mi się chce biegać w zawody z takim kolosem, jak ty! Tam za krzakiem młodszy mój brat odprawia drzemkę poobiednią, on mnie zastąpi».

Chłopiec gwizdnął. Z krzaku wyskoczył zajączek, i olbrzym nie zdążył jeszcze się ruszyć, gdy zając już był daleko.

Wówczas olbrzym, podniósłszy z ziemi kamień, zgniótł go na placek.

«No, a to potrafisz?»

«To dla mnie głupstwo. Ale czy umiesz tak ścisnąć kamień, żeby z niego woda pociekła?»

I chłopiec wyjął z torby pastuszej kawał sera i ścisnął go tak mocno, że aż mu woda kapała z pod palców.

Olbrzyma wprawiło to w najwyższe zdumienie.

«Ach, co z ciebie za słabizna! Masz tylko duże kości», śmiał się chłopiec. «Jeszcze raz spróbuję się z tobą, a potem idź z Bogiem».

Olbrzym wziął gniewnie kamień i rzucił go w powietrze. Z przechylonemi wtył głowami patrzyli obaj, jak kamień zginął w niebie. Dopiero po długim czasie spadł on zpowrotem na ziemię.

Ale chłopiec wyjął z zanadrza ukrytego tam ptaszka i puścił go na wolność. «Widzisz, rzuciłem kamień wprost na tamten świat. Nigdy go już nie zobaczysz» — tak się przechwalał.

Olbrzym czekał na to, by «kamień» chłopca spadł zpowrotem na ziemię, aż szyja mu zdrętwiała z tego patrzenia. Czekał napróżno.

Przegrał zakład.

Oddał chłopcu bryłę złota i poszedł dalej. Szedł szybkim i mocnym krokiem, zostawiając w ziemi głębokie ślady. Biedny olbrzym był całkiem odurzony, a strach chodził za nim krok w krok. Zataczał wielki łuk, gdy widział oracza za pługiem lub pasterza przy trzodzie. Te chrząszcze miały siłę zdumiewającą. Taki pędrak zabrał mu bryłę złota i pobił go z kretesem. Podobny był teraz do ogromnego drzewa bez rdzenia i nie mógł już ufać ani rękom swym, ani nogom. Szedł, nie wiedząc, dokąd go własne kroki zaprowadzą — gdyby tylko znowu gdzieś nie wyszedł z ziemi taki chrząszczyk, aby uwikłać go w nowy zakład. Zdartoby mu jeszcze trzy pasy z pleców, a gdzieżby wtedy mógł się pokazać!...

Skończyły się lasy i wzgórza — przed olbrzymem leżała kwitnąca równina kur-

landzka. Niebo było tutaj tak jasne, a ziemia tak rozległa, że aż nogi chwiać mu się zaczęły, a cień jego tańczył pociesznie na czerwonych kwiatkach koniczyny, gęsto rosnącej na urodzajnej glebie. Niby fale, kołysały się obok siebie czerwone i zielone kwiaty i liście.

Olbrzym nie wiedział już, co począć z wielkiemi swemi rękoma. Były tak silne i potężne, stworzone do wielkiej i ciężkiej pracy, a tutaj wszystko jest tak łatwe i jasne, że niema miejsca dla niego. Mógł tylko wtedy żyć, gdy miał co dźwigać. Bo tacy już są oni — olbrzymy. Jak inny nie może unieść ciężaru, tak olbrzym nie mógł nieść nic lekkiego. Rzucił się na pole z kwitnącą koniczyną i wyciągnął niezgrabne swoje ręce i nogi, podobny do upiornego straszydła. Słodki zapach miodowy napełniał mu nos i usta. Zębami gryzł ziemię i płakał, ale kwitnąca ziemia śmiała się z jego gniewu i rozlewała woń swą wokoło.

Gniewny i markotny, podniósł się olbrzym i pociągnął, jak chmura, ku zachodowi, gdzie na widnokręgu leżały dąbrowy ciemnobłękitne. Stare, stuletnie dęby wyciągały tutaj potężne swe konary. A gdy znalazł się w lesie, czuł się jakby wśród mężów, gdyż dęby były równego mu wzrostu. Zły i rozjątrzony, zgrzytał zębami i parskał, że aż liście spadały z gałęzi. Potem rzucił się na dęby, wyrywał je wraz z korzeniami i ciskał w powietrze. Najgrubsze drzewa chwytał wpół. Borykał się z niemi, jakby z ludźmi, i był rad, że mu się przeciwstawiała jakaś prawdziwa siła. Albowiem w dziecięcej jego duszy zrodziło się już przeczucie ludzkiego fałszu. Tak to szalał on czas jakiś, aż wokół niego legło, niby morze, zielone karczowisko, gdzie z ponad połamanych gałęzi i wyrwanych korzeni z krzykiem uciekały wystraszone ptaki i zwierzęta. I oto poczuł się znów zmęczony a szczęśliwy i ruszył naprzód, zadowolony z siebie.

Lecz z nadejściem wieczora, gdy z dworskich kominów wznosiły się słupy dymu, olbrzym znów posmutniał. Zatęsknił do głębokiego mroku wnętrza ziemi, słyszał, jak skroś ten mrok dźwięczały kowadła karłów i sapały miechy, i widział, jak dym owija brody i twarze poczciwych karzełków, co w sinych i czerwonych płomieniach roztapiali srebro i złoto. Przez noc całą nie dawały mu spokoju te obłoki dymu, które mu się wydawały słodsze, niż wszelkie zapachy kwietne.

Jak długo jeszcze olbrzym wędrował po świecie, o tem najstarsi nawet ludzie nic opowiedzieć nie mogą. Ale któreż dziecko nie słyszało przecie o siłaczu Wyrwidębie, który błąka się tu i tam, szukając pracy? Niejeden bór on wykarczował, wywracając z nadmiaru sił drzewa olbrzymie, niejedno pole pokrył on ziemią, wyrwawszy drzewa wraz z korzeniami. Ale czynił to z nudy, bo nie mógł znaleźć dla siebie miejsca odpowiedniego. Tak więc zbliżał się do kresu. Siły jego niknąć zaczęły. A gdy pewnego razu przybył na pustynną polanę, coś go pociągnęło nieprzeparcie ku ziemi, która tam pod piaskiem kryła w swem urodzajnem łonie przyszłe lasy i kwiaty. Położył się na ziemi i począł żarliwie sypać piasek na szyję swą i ramiona. I stał się dziw — ziemia zwróciła mu utracone siły. Im głębiej się zakopywał, tem stawał się silniejszy.

Koło wieczora nie było już widać olbrzyma. Wznosiła się tam jedynie góra, która, niby wielkie kretowisko, poruszała się i rosła. Powiększała się coraz bardziej, aż wkońcu stała się nieruchoma.

Niebawem na wierzchołku zaczęły kiełkować przyniesione tam przez wiatr nasiona. A po latach wyrósł las na górze. Ptaki siedziały na gałęziach i śpiewały, lisy wykopywały sobie ciepłe nory; a olbrzym leżał głęboko pod ziemią i znów słyszał, jak dźwięczały kowadła karłów i jak sapały miechy kowalskie. I było mu tak dobrze, że bał się oddychać, by nie poruszać jaj ptasich i nie przestraszyć parek miłosnych, siedzących tam na górze pod gęstemi drzewami. Olbrzym wstrzymywał oddech i słodką falą wzbierało szczęście w jego piersi. Na nim spoczywał cały ciężar góry.

Olbrzym miał znów coś do dźwigania, żył znów pełnem życiem i był szczęśliwy.

Lecz ani drzewa, ani kwiaty, ani ptaki nie wiedziały, że kołyszą się na grzbiecie olbrzyma. Leżał on bowiem tam nadole tak cichy i spokojny, jakim jedynie mogło go uczynić wielkie szczęście.

Tłum. Alfred Tom.

EDVARDS VIRZA
(ur. 1883)

ZIELONE BRZOZY

Tam, gdzie orał pług przed laty,
Kędy swój złocisty kłos
Chylił w słońcu łan bogaty,
Mrąc pod ostrzem lśniących kos,

Dzisiaj, skoro tylko z wiosną
Znikną lody, śniegi, mróz,
Pieśnią ufną i radosną
Szumi gaj zielonych brzóz.

Skryta w nim kukułka kuka,
Zapowiada rychły deszcz;
Zając tu schronienia szuka,
Tłumiąc w piersiach lęku dreszcz.

Szumią brzozy przy powiewie
Wiatru, niby fale mórz...
Błądząc w cieniu, człowiek nie wie,
Że tu rosły łany zbóż.

Lecz przechodzień, jeśli w ciszy
Na mchu leśnym spocznie rad,
Wtedy w błogim śnie usłyszy
Dźwięki pługów z dawnych lat.

Człowiek w pocie czoła orze,
Sieje, kosi — przejdzie czas
I tam, kędy rosło zboże,
Wstanie znowu bujny las.

Tłum. Tadeusz Radoński.

W GODZINIE, KIEDYM ROZSTAŁ SIĘ ZE ŚWIATEM...

W godzinie, kiedym rozstał się ze światem,
Hen, na zamarłych ruin zieloność,
Duch mój uleciał w lubą Kurzemę [1]
Między mogiły i w nieskończoność...

Nad mogiłami zawisł jak zwiastun,
Wonny, by kwiatów umarłych wiązka.
Nad własnym grobem kłoni się drżący,
Jak nadłamana, zwiędła gałązka...

O, matko! Wówczas przyjdź ku mnie słodka,
Obejmij cień mój dłońmi dobremi,
Przytul do piersi, zabierz ze sobą,
Prowadź do domu, wiedź mnie ku ziemi!...

Życie to straszny sen bez przebudzeń,
Błądzenie pośród ścieżek omylnych!...
A potem przetwór cichy, powolny
W wilgotny piasek dołów mogilnych...

TYŚ PIESZCZOTLIWA, UŚMIECHNIONA...

Tyś pieszczotliwa, uśmiechniona,
Podobna fali pierwszej wiosny!
Choć mi otwierasz swe ramiona,
Jestem wciąż smutny i zazdrosny.

Bo kres przeczuwa serce moje...
Oczy twe żądne niespodzianki...
Pochwycą ciebie wiatru zwoje,
Jak puch odkwietny, w szał zachcianki...

[1] Kurlandję.

Chciałabyś rozwiać me zwątpienia,
Lecz fałsz w twych słowach dziś już dźwięczy!...
Ty nie wiesz!... — Krew ma w lód się zmienia
Na myśl, co nęka mnie i męczy!...

Nienawiść zewsząd na nas czyha,
Więc się kryjemy z swą żałobą...
Ty — ziemia w mgle upalnie cicha,
Ja — krwawy wieczór ponad tobą...

W WIĘZIENIU

W więziennych lochach zarzuceni —
Dzieli nas ostry krwawy drut...
Po ścianach błądzą widma cieni —
Z okiennych krat słoneczny rzut...

W rano li, w wieczór, gdy dogasa,
Czyli w południa skwarny czas —
Tężym ramiona, rwąc żelaza,
Które na wieki dzielą nas...

Przychodzi noc i mgły natrętne,
A ona leży u mych krat —
I wpija we mnie oczy błędne,
Jak smagający, krwawy bat!...

Nad nami mary się obłoczą,
Czyniąc tajemny losu krąg...
Z oddali dusze się jednoczą,
Ręce szukają drogich rąk...

Tłum. J. W.

Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.